

Wacław
Gąsiorowski

PANI
WALEWSKA



BUKOWYŁAS



Ostatni dzień 1806 roku miłą sprawił Warszawie niespodziankę. Oto w noc jedną otrząsnął się z ołowianych chmur, dżdżystych osłon i rozszalałych wichrów, które od tygodni wiernie służyły jego poprzednikom, i stawał się w skrzącym, śnieżnym płaszczu, z pogodą nieba u skroni, z uśmiechem słońca, z tężyzną mroźnej ciszy.

Tyle nieoczekiwanego, a tak upragnionego gościa powitała Warszawa ze szczerą uciechą, powitała na dobrą wróżbę zbliżającego się Roku Nowego, na zapowiedź chwil jasnych, na spełnienie bujnie wyrosłych nadziei.

Nielitościwe słoty, jakby na przekór pogodzie serc, aż popsuły opinię całej ziemi, ujętej w ramiona Odry, Niemna, Warty i Wiśły. Żołnierz francuski kłął błota, generalicja pomstowała na psi czas, a wytworni sztabowcy dziwili się, jak można było w tak niegodziwym klimacie budować sobie ojczyznę. Nawet zapewniano w pałacu pana Aleksandra Potockiego* podejmującego u siebie marszałka Murata**, że sam cesarz narzekał na płuchę.

Najbliżsi świcie cesarskiej zaprzysięgali się, że od lat nie pamiętają takiego rozbeczanego decembra***, dowcipnisie

* Aleksander Potocki – dawny poseł na Sejm Czteroletni, później, w czasach Księstwa Warszawskiego, minister policji.

** Murat – Joachim Murat (ur. 1767, rozstrzelany 1815), książę Bergu i Kliwii, później król Neapolu, szwagier Napoleona, żonaty z jego siostrą, Karoliną.

*** December (z łac.) – grudzień.

tłumaczyli, że to łyży wylane przez pruskiego gubernatora, Kohlera, przy opuszczaniu Warszawy, taką sprowadziły słotę, na koniec wszyscy przepowiadali z dnia na dzień mróz. A tymczasem plucha z przejmującym zębem broiła. Parady się nie udawały, uroczystości spowijały mgły, psuły się i mokły furaże, gorączki i febry trawiły wojsko, gasły iluminacje – co gorsza, od Czarnowa, Gołymina, Działdowa i Pułtuszka szły słuchy, że i tam słota miesza szyki, krzyżuje plany i niweczy cesarskie rozkazy*.

Z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty grudnia gruchnęła już była pierwsza wiadomość o nowym zwycięstwie Napoleona nad brzegami Narwi, lecz brakło jej urzędowego zaświadczenia, bębny na odwachu milczały. Daremnie co przedniejsi panowie krążyli dookoła pałacu pana Aleksandra Potockiego – dnia tego podobno i sama pani Anna widzieć się nie mogła z Muratem. Marszałek, odpowiadający w Warszawie zasłużone wczasy, a przy tym cierpiący – jakoś więcej niedomagał. Innego zaś źródła nie było, bo imć pan Wybicki** wyciągnął z cesarzem.

Dopiero w dzień Sylwestra, razem z pogodą i mrozem, odwach zadygotał od grzmotu bębnów, a książę Bergu już w południe z dość niewyraźnym zapalem dzielił się z panem Potockim wiadomościami o wygranej bitwie pod Pułtuskim i spodziewanym powrocie cesarza do Warszawy. Ta ostatnia nowina bodaj największy wzbudziła zapal, bo o zwycięstwie Napoleona i tak nikt wątpić nie śmiał, w ponowny zaś przyjazd jego do niedawnej stolicy Prus Nowowschodnich trudno było wierzyć. Bonaparte już bowiem dał poznać Warszawie, że była ona dla

* Cesarskie rozkazy – akcja opowieści zaczyna się w chwili, gdy po rozbiciu Prus i zajęciu Warszawy Napoleon prowadził nad Narwią i Wkrą działania wojenne przeciwko wojskom rosyjskim.

** Pan Wybicki – Józef Wybicki (ur. 1747, zm. 1822), słynny polski działacz polityczny z końca XVIII i początków XIX wieku, dawny konfederat barski, autor *Listów patriotycznych do ekskanclerza Zamoyskiego* (1778), współtwórca Legionów Polskich we Włoszech, autor hymnu *Jeszcze Polską nie zginęła*. Obdarzony zaufaniem Napoleona, był głównym organizatorem nowych władz na wyzwolonych w 1806 roku ziemiach zaboru pruskiego.

niego tylko jedną więcej „główną kwaterą”, punktem operacyjnym i magazynem wojskowym.

Przed tygodniem przyjechał w nocy samotrzeć z mamelukiem^{*}, nie zwróciwszy uwagi ani na rusztowania łuków triumfalnych przygotowywanych na jego przyjęcie, ani na zwoje girland mających mu wjazd do miasta umaić – Napoleonowi starczyła na powitanie głusza pustych sal zamkowych i kubek wody na odwachu.

Krótką rozprawa z uroczystą delegacją obywateli, kilka rozmów z Wybickim, w których mówiło się o zaprowiantowaniu wojska, gorączkowe oględziny brzegów Wisły – to nicomal cała pierwsza jego z Warszawą znajomość. Nie pozwolił jej nawet zbliżyć się do siebie, a cóż dopiero przypatrzeć. Spadł jak grom i znikł jak meteor.

Zapowiedź powrotu cesarza musiała więc tym silniej zakolać w sercu Warszawy. Statyści widzieli w nim przewrót dziejowy i wykonanie rzuconych wspaniałomyślnie półsłówek na przyjęciach w Berlinie i Poznaniu. Młodzież zdawała się bliższa szlif, krzyżów i instrumentów oficerskich, chmara stanisławowskich dworaków podnosiła hardo głowy, wspominała dawne zaszczyty i szukała już nici intryg u Talleyranda^{**}, u księcia Borghèse^{***}, szwagra cesarskiego, u Murata, nie pomijając nawet tak układnych sztabowców jak panowie de Noailles i Lagrange. W salonach i salonikach padały

* Mameluk – w czasie wyprawy do Egiptu (1798–1799) Bonaparte przyjął do służby francuskiej oddziały miejscowej, tubylczej kawalerii – mameluków. W roku 1804 utworzono z mameluków specjalny szwadron przybocznej gwardii Napoleona.

** Talleyrand – Karol Maurycy Talleyrand de Périgord, książę Benewentu (ur. 1754, zm. 1838), najślynniejszy dyplomata francuski XVIII i XIX wieku. Służył kolejno „dawnemu porządkowi” we Francji, Wielkiej Rewolucji Francuskiej, Napoleonowi, odnowionej monarchii Burbonów (1815–1830) i tzw. monarchii lipcowej (po r. 1830). Początkowo kapłan katolicki i biskup w Autun, zerwał potem z Kościołem. W roku 1807 był ministrem spraw zagranicznych Francji (ze stanowiska tego zrezygnował 9 sierpnia 1807).

*** Książę Borghèse – Kamil Borghèse (ur. 1775, zm. 1832). Pochodził ze starej rzymskiej rodziny arystokratycznej. Szwagier Napoleona, żonaty z Pauliną Bonaparte, wdową po gen. Leclercu.

pierwsze pogłoski o balach i przyjęciach na zamku i rodziły się pierwsze troski o zaproszenie, o starszeństwo znakomitości rodu, o strój, o ceremoniał. W dworach jeno, mieszczańskich kamieniczkach i izdebkach przyjazd cesarza przyjęto ze szczerym zapalem, wolnym od myśli ubocznej, rachuby małej, bo tam już od wjazdu pierwszego oddziału kawalerii francuskiej do Warszawy pracowano nad mundurami, naprawiano zarzewia żelastwo i oddychano pragnieniem czynów.

Zmierzchało się. Ulice Warszawy wrzały życiem. Chrupot jędrny śniegu pod stopami przechodniów łączył się z wesołym brzękaniem dzwonek u sani, nawoływaniem woźniców i gwarem hałaśliwych rozmów.

Światła rozpałały się z wolna w oknach domów, u podjazdów wielkopańskich migotać zaczęły latarnie, hajducy na kozłach zatykali pochodnie, sklepy, winiarnie i zajazdy buchały nie tylko kłębami pary, lecz i potokami żółtoczerwonych blasków.

Zgiełk i zamieszanie wzmagaly się z godziny na godzinę. Dziesiątki panien służebnych, kozaczek dworskich, pajuków i pokojowców w barwach strzelców na posyłki snuło się ulicami, bądź dźwigając wielkie pudła czworogranne, bądź wytwornie spowinięte tłumoczki, bądź dopiero załatwiając sprawunki lub roznosząc uperfumowane bileciki. Zamożniejsi mieszczenie a drobna szlachta, tułająca się na bruku warszawskim i wzdychająca całym sercem do promocji, sejmików i politycznych wywodów, ciągnęła na poczęstunek, na należyte Nowego Roku powitanie. Nawet z lepierek nad Wisłą wymykały się skulone postacie kobiet skostniałych na poły z zimna, dzieci bosych, mężczyźni tulących się daremnie do łachmanów przed mroźnym wiewem i śpieszyły się dopiero groszaków szukać czy ostatnie dytki karczmarzowi oddać, byle weselem Rok Nowy spotkać, a za pomyślnością przepić i nędzę swoją bodaj na noc jedną zdławić.

W odpowiedzi na te uroczyste światła, którymi bramowała się Warszawa, u szafirowego stropu niebieskiego roziskrzyły się gwiazdy, haftując płaszcz nocy miliardami diamentowych blasków, przepasując ją srebrzystą wstęgą mlecznej drogi, a ścieląc pod stopy wypływającego księżyca szatę puszystą nieuchwytnymi płatkami obłoczków, miękką łagodnych barw doborem a wielką bezmiarem ginących w dali horyzontów.

Od strony rogatek wolskich toczyła się ociężałe poszóstna karoca, skrzeczając przeraźliwie na stężących na mrozie piastach i osiach. Karmne gniadosze, smagane batem woźnicy, zmagaly się z głębokimi kolejami śnieżnymi, kłębami pary znaczyły każde drgnięcie rozwartych chrapów, targały naprężonymi szlejami. Karoca zapierała się, porosłe śniegiem koła z trudem się obracały, a na domiar przy wjeździe na ulicę Senatorską trafiła na taki sznur rozlicznych pojazdów, że jeno noga za nogą posuwać się mogła, co chwila odbywając przymusowe postoje.

Przed Marywilem* ulica rozszerzała się. Woźnica zaciął konie, aby jadące przed karocą sanki wyminąć i na plac się wydostać, gdy wtem od Bielańskiej nadciągnął długi korowód wozów włościańskich, eskortowanych przez wojsko. Ruch w jednej chwili został zatarasowany, pojazdy zbiły się w bezładną gromadę i czekały.

Ta nowa przeszkoda snadź zniecierpliwiła jadących, bo zamarznęte okienko karocy roztworzyło się z trzaskiem, a równocześnie rozległ się dźwięczny głos kobiecy:

– Domagalski, dlaczego znów stoimy?

Tęgi strzelec, siedzący obok woźnicy, obrócił się, aby odpowiedzieć, gdy tymczasem z głębi karocy ozwał się drugi głos ostry, chropowaty:

– Chcesz widocznie, żebym się znów przeziębiał!

– Nie, tylko... ta jazda...

– Pilno ci, pilno! Wiem, wiem! Ale się nie śpiesz. Powiedziałem ci, jeżeli księżna nie zostawiła kart, to zostaniemy w domu.

– Jak ci się podoba – odrzekł drżący głos kobiecy.

Okienko się zamknęło. Strzelec, który czekał sposobnej chwili, aby na zadane mu pytanie dać odpowiedź, odwrócił się do woźnicy i mruknął pod nosem:

– Dokuczliwy.

– Starość go żre – przyznał woźnica.

– I zazdrość.

* Marywil – zespół budynków wzniesionych pod koniec XVII wieku przez królową Marię Kazimierę i tak nazwanych od jej imienia (*Marieville*). Rodzaj wielkiego bazaru. Marywil zajmował obszar, na którym stoją dzisiaj teatry Wielki i Narodowy.

– Byle temu biedactwu przymówić. Dziś w Walewicach łzami się zalewała i nie chciała jechać. Pokojowa mówiła.

– Panie Błażeju, mnie to powiadacie! – przerwał z alteracją strzelec. – Na ręku ją nosilem. Nieboszczyk pan starosta gostyński to się tam w grobie przewraca, jakiego życia doznaje nasza pani. Albo i ja długo jeszcze miejsca zagrzeję, wczoraj tak mnie sfukał, jak chama pierwszego lepszego. Tfy!

Woźnica trącił z lekka Domagalskiego.

– Miarkujcie się, bo posłyszają.

– Niech sobie! – obruszył się strzelec i umilkł, bo w tejże chwili rozległ się znów chropowaty głos:

– Zamknęłaś okno! Chcesz, żebym się udusił!

Okienko otworzyło się po raz wtóry.

– Czego Błażej nie rusza? – skrzeczał wciąż ten sam głos. – Ciebie nic to nie obchodzi!

– Nie pozwoliłeś – rzekł cicho głos kobiecy.

– Proszę! Na to trzeba ci może pisemnego dowodu! Pewnie gdybym miał skrzepnąć na tym mrozie, jeszcze byś się nie zatroszczyła. Nie masz, pani, czego wzdychać, stary jestem, doczekasz się mojej śmierci, doczekasz!

Gwałtowne szarpnięcie karocy i trzask, i zgrzyt osi przerwał dalsze wywody.

Karoca potoczyła się teraz rażniej, skręciła w Miodową, minęła Pałac Paców i wzięwszy się na prawo od Kościoła Bazylianów, zatrzymała się z łoskotem przed ostatnią kamienicą na Długiej, w pobliżu osławionego Pałacu Raczyńskich.

Strzelec zeskoczył z kozła i zakolał do drzwi pod podjazdem. Na znak ten drzwi rozwarły się na ścieżaj, ukazując jasno oświetloną sień. Z głębi jej wypadło kilku pacholków i zabrało się do odwiązywania umieszczonych za pudłem karocy pakunków. Strzelec otworzył drzwiczki i pomógł wysiąść otulonej w szubę damie, po czym skinął na najbliższego pacholka i ją wyprowadzać pana spowitego futrami.

Dama weszła do sieni i zniknęła w jej głębi, pan gramolił się jeszcze około karocy, strofował i perorował, dopytując się strzelca po kilkakroć o każdy sepecik, każde puzderko.

Gromada przechodniów, zaciekawiona landarą, kupić się zaczynała u podjazdu. Pan niecierpliwił się, stukał hebanową

laską i pogardliwie spoglądał ku gawiedzi. Naraz tuż przed nim zarysowała się pękata figura mężczyzny w opiętym futerku i skłoniła mu się uniżenie.

Pan zmierzył ją od stóp do głów i zagadnął niepewnie:

– Za pozwoleniem... z kim?

– Wszak imć pan Anastazy Walewski? – zapytała pękata figura.

– Właśnie... Ale...

– Szambelan dobrodziej! Kopę lat. Nie poznajeszże mnie! *Parole d'honneur!** Bo ja szambelana, to nic dziwnego... odmłodniałeś mi... No, jeszcze nie? Bolesza!

– A, Bolesza. Bardzo miło – odrzekł Walewski, dosyć chłodno przyjmując uściśnienie witającego.

– Ten sam! Jeden z triumwiratu: Dłuski, Bolesza, Hulewicz. A pamiętasz szambelana Dzbańskiego, *brave homme***, już ani ręką, ani nogą... trzy razy mu krew puszcza! Szambelan, widzę prosto z drogi. Na zapusty! Cha, cha! Rozumiem, pani szambelanowa dobrodziejka... A świetnie się zapowiadają, książę Borghèse wydaje bal, u pana Talleyranda przyjęcia dwa razy tygodniowo, pani de Vauban*** niestrudzona jak zwykle, u pani Potockiej *réunion***** ze stołami na pokaz... no, a powrót cesarza! Pani szambelanowa będzie miała w czym wybierać. Ale, będziemy oglądali za tydzień teatr, oficerowie na rekonwalescencji już rozebrali role. Admiruję dobrą myśl: dawno nie mieliśmy tak urozmaiconego karnawału.

– Jesteś w błędzie, my tylko w sprawie familijnej na kilka dni. Ale, daruje waćpan, mróz idzie.

– Drogiemu szambelanowi nie śmiałbym odmówić! Służę z całą gotowością!

Walewski spojrzał zdumiony na Boleszę, nie rozumiejąc, jak się to stało, że go zaprosił, kiedy najmocniej chciał się od

* *Parole d'honneur!* (fr.) – słowo honoru!

** *Brave homme* (fr.) – zacyz człowiek, pocziwiec.

*** Pani de Vauban – Henryka de Vauban, z domu de Barbantane. Francuska emigrantka, kochanka księcia Józefa Poniatowskiego; przez wiele lat (po trzecim rozbiórce aż po czasy Księstwa Warszawskiego) wywierała znaczny wpływ na życie towarzyskie Warszawy.

**** *Réunion* (fr.) – zebranie, przyjęcie.

niego uwolnić, lecz nie znajdując dość gładkiego wybiegu dla uwolnienia się od natręta, zawrócił do sieni. Bolesza poszedł za nim, zasypując go gradem słów i na krok go nie odstępując.

Szambelan oddał się tymczasem w ręce czekającego nań kamerdynera, Francuza, który z niebywałą wprawą pomógł mu zdjąć płaszcz, ściągnął futrem podbite ciżmy, porozkręcał szale, porozpinał nagolenniki, a wreszcie rozebrał ze skórzanego kaftana i dopiero doprowadził swego pana do stalowego fraka z gwiazdą orderową, paliowej kamizelki jedwabiem szytej w kwiaty i tabaczkowych spodni.

Szambelan odetchnął z widoczną ulgą i rozsiadłszy się z zadowoleniem przed płonącym ogniem na kominku, jął za-pijać podany przez kamerdynera poncz. Bolesza zaś ze złośliwym uśmiechem na szerokiej czerwonej twarzy, której główną treścią był szeroki ogórkowaty a siny nos, zacierał zziębnięte ręce i przyglądał się Walewskiemu. Ten jakby odgadł myśl Boleszy, bo połknąwszy gwałtownie haust ponczu, zagadnął nagle:

– Jakże się wydają waćpanu teraz? Co?

– Ubyło mi pana. W oczach ubyło. Toć trzy czwarte szambelana zabrano do garderoby.

Walewski poruszył niecierpliwie ustami i rzekł ze źle ukrywanym wzburzeniem:

– Chcesz mi przymówić, żem grzyb?

– *Jamais de la vie!** A cóż ja? W jednym jesteśmy wieku, mnie już peruka po łysinie jeździ, a szambelanowi daleko... zresztą przy takiej żonie można odmłodzić. Co? He? Ale u szambelana dobre wino bywało. Wdzięczny wam jestem, że mnie ponczem nie ugaszczacie, bo nie mogę, *parole d'honneur!*

Szambelan zadzwonił na pokojowca i kazał podać wina. Bolesza rozpromieniał.

– A dziś rano dzwoniło mi w uchu. Dobra nowina! I sprawdziło się. Niezmiernie się cieszę z oglądania kochanego szambelana! Coraz mniej ludzi naszych czasów, dobrych czasów! Rozpraszamy się, giniemy. Jedni, jak poczcwiwy Grabińsio, osiadają w klasztorach, drudzy, w rodzaju Grotusa-peruczki,

* *Jamais de la vie!* (fr.) – nigdy w życiu!

pożenili się, trzeci huśtają wnuków, a zresztą kogo śmierć nie sprzątnęła, przemyśliwą o wojskowej służbie.

– Co? Może i waćpan myśli?

– *Parole d'honneur!* Taki impet! Rautenstrauch i Hedbuski już się podali! Pepi* jeszcze traktuje, lecz tylko patrzeć... Prąd rwie, bez munduru ani się pokaż! Ba, ba! Wino! Dziękuj Bogu, szambelanie, że Wybicki o niczym nie wiedział, zarekwirowałby je do wojska.

– A któż tu rządzi, kto przyjmuje? Przysyłają mi korespondenta, lecz kto zbiera te... te delegacje?

– Jego królewska mość, imię pan Józef Wybicki pierwszy – odrzekł Bolesza z komiczną powagą, pociągając mocno z kieliszka.

– Który Wybicki?!

– Jedno słońce, drogi szambelanie, jeden Katon, jeden Wybicki. Posel na Sejm Czteroletni, kamrat generała Dąbrowskiego, przyjaciel pana de la Roche, rajfur uprawomocniony legionów, dziedzic Manieczek, ojciec dwóch synów. Małoż tytułów?

– I taki rozkazuje?

– Ba, ba! I jak!

– Domyślam się intrygi. Przecież obowiązkiem było zwrócić się nade wszystko do tych, którzy zajmowali dawniej stanowiska! Gminne sympatie ma ten Bonaparte. Pisał mi właśnie pan Ksawery – nie sądziłem jednak, żeby aż do tego doszło.

– Rewolucja rządzi, kochany szambelanie! Rewolucja. Poczciwy *chevalier*** de Saint Ville żółtaczki dostał, gdy mu zaczęto wymieniać tych nowych francuskich „duców”***. Bywały i u nas wypadki, że związek z krwią królewską... *Vous vous rappelez?***** Pani Rochowa Kossowska, podskarbiowa, córka Merliniego – lepiej powiedzieć – Orzelska... Lecz tak sobie oficerów stroić w mirty! A na to się zanosi, że i u nas będzie

* Pepi – książę Józef Poniatowski, zwany tak popularnie od austro-czeskiego zdrobnienia imienia (książę Józef urodzony był w Wiedniu).

** *Chevalier* (fr.) – kawaler, tytuł szlachecki, najniższy w hierarchii arystokratycznej.

*** *Duc* (fr.) – książę.

**** *Vous vous rappelez?* (fr.) – przypomina pan sobie?

nielepiej. Pani de Vauban jest strapiona. Dla niej podwójny cios – jej przywiązanie do Burbonów zostało głęboko zadrażnione i gdyby nie Pepi, wyjechałaby do Wiednia. Naszym damom naturalnie taka dystrakcja przypadła do gustu – już niejedno serduszko bije dla munduru. Co robić? Przy tym zamęt, nieład, nie wiadomo, kto panuje, lada generał dyktuje sobie warunki. Niby ochotnik się gromadzi, Kurtz na personeę urasta, a choćbyś czasem duszę zaprzedał, nie ma z kim ani banczku pociągnąć, ani porządnej socjety zebrać! Akselbanty, ostrygi, pałasze i ledwieś uszu nastawił, już słyszysz – wojna! *Parole d'honneur*, źle się dzieje, kochany szambelanie!

Bolesza zamilkł i sięgnął do kieliszka. Walewski siedział bez ruchu, zapatrzony w dogasające ognie na kominku.

Ciszę przerwał pokojowiec z listem na tacy i okularami.

Szambelan rozerwał nerwowo kopertę, rzucił okiem na list i rozkazał krótko:

– Powiedz jaśnie oświeconej pani, żeby się ubierała. Zawołaj mi Baptystę.

Bolesza na tytuł „oświeconej” mruknął coś pod nosem. Szambelan odwrócił głowę.

– Mówiłeś?

– Delektuję się winem. Jeden z najlepszych cienkuszy, jakie piłem w życiu.

Walewski roześmiał się z przymówki.

– Daruj. Jestem bez szafarza. Przyjechaliśmy na jeden dzień. Właśnie księżna mi pisze.

– Idzie o małżeństwo syna, pana Ksawerego, z księżniczką Dominikówną.

– A waćpan skąd wiesz?

– Powiadano.

– Słyszałeś może coś więcej?

– Tyle tylko, że pani kasztelanowa Ossolińska myśli nie na żarty sforować swego podrastającego Wiktusia. Może to nawet ułożone, chociaż można odrobić.

– Nie rozumiem, na co siostra...

– Kochany szambelanie, księżna Jabłonowska ma pewno swoje rachuby. Wszystko zależy. Pan Ksawery ma piękną fortunę, ale jeżeli klucz walewicki wyłączony zostanie z przyszłej

jego schedy, to wnukowi kochanego szambelana niewiele się zostanie... Fortuna się rozdrobni.

– Co waćpanu, panie Bolesza, w głowie... szambelanowa ma swoje dwa folwarki i dożywocie. Reszta zawsze na Ksawerego przejdzie.

– Zapewne, a gdyby tak pan szambelan doczekał się potomstwa? Co?

Walewski szarpnął się niecierpliwie.

– Żarty sobie stroisz ze mnie. Zdaje się waćpanu, że mnie uroda żony rozum zamroczyła, że zapomniałem o latach?!

Bolesza roześmiał się dobrodusznie i mrużąc filuternie swe świdrujące oczki, odparł bez namysłu:

– Zakładu bym nie trzymał. Jedna z najpiękniejszych kobiet w Polsce! Szambelanie kochany, *parole d'honneur*, ani cię myślę urazić, tylko zdarza się, nawet bardzo często... Z tym trzeba się liczyć. Radziwiłłówna...

– Nie mówmy o tym – przerwał sucho Walewski. – Przykro mi tak miłą przerwać gawędkę, lecz muszę się ubierać.

– Kochany panie Anastazy, z Boleszą to jak z dzieckiem, *parole d'honneur*. Państwo długo jeszcze zabawią?

– Najpóźniej pojutrze. Tu nie ma co robić.

– Niepowetowana szkoda, *parole d'honneur*, jeszcze strzeмиennego! Karnawał bardzo niezwykle! Na zamek mają odkomenderować wszystkich oficerów ósmego korpusu. Sługa kochanego szambelana! Zobaczymy się zapewne dzisiaj. Pani szambelanowej najniższe ukłony.

Bolesza uścisnął po kilkakroć szambelana, dygnął z wyszukaną grzecznością i szurgając posuwicie nogami, wyszedł.

Walewski odetchnął z oznakami widocznej ulgi, zasunął się w głąb fotela i jał mrużyć ociężałe powieki. Lecz kamerdyner, który stał już przy drzwiach, chrząknął znacząco. Szambelan ocknął się i powiódł zamglonym wzrokiem dookoła.

– A! To ty, Baptysto – rzekł po francusku.

– Ja, panie. Czas się ubierać.

– Kiedy czas, trzeba.

Walewski podniósł się z wolna, jak człowiek, który ciężkimi ulega rezygnacji, i podpierając się na lasce, przeszedł do garderoby. Tam usadowił się na krześle i rozwarł na poręczach ręce

na znak, że poddaje się woli i sztuce swego szatnego, perukarza i niańki w jednej osobie.

Francuz już nie tylko z artyzmem, ale ze świadomością każdej poszczegółnej bolączki szambelana zabrał się do pracy. Zadanie było ciężkie. Pan Anastazy ósmy krzyżyk już był zaczął, rozliczne cierpienia wysuszyły go na szkielet obciążony pergaminem, dosyć burzliwe życie pozostawiło przykre ślady nawet w usposobieniu szambelana i w upodobaniach.

Walewski w tych siedemdziesięciu latach żył i przeżył wiele. Pamiętał Bruhla*, patrzył własnymi oczyma na „familię”, znał króla Stanisława stolnikiem litewskim, sam go wybierał, posłował w sejmach, bywał w Łazienkach i zawsze wierne służby odprawiał na balach i zabawach, był miłym kompanem, lubianym przez kobiety kawalerem, wrażliwym nieco na ich wdzięki, lecz za to dyskretnym. Ten sposób życia musiałby się niewątpliwie odbić i na majątku pana Anastazego, gdyby nie okoliczność, że sam będąc wnukiem z prostej linii Józefa Kolumny-Walewskiego, wojewody łęczyckiego, ożenionego z Grabską, równocześnie dziedziczył i po dziadzie stryjecznym, ile że ojciec pana Anastazego ożenił się z jego jedynaczką, córką. A ponieważ nadto posypały się nań obfite schedy z linii bocznych, szambelan na magnata wyszedł.

Zamożność Walewskiego nie mała przyczyniła się do tego, że zapomniał o starości, że ciągle miał się za „w sile wieku”, że nie zawahał się w siedemdziesiątym ósmym roku stanąć po raz trzeci na ślubnym kobiercu z córką podupadłej sąsiadki swojej, pani Łączyńskiej, starościny gostyńskiej, ostatkami goniącej w dziedzicznej swojej Kiernozi.

Pan Anastazy dopiero kilka tygodni po hucznym weselu przejrzał i ogarnął ogrom spustoszenia wyrządzonego mu przez czas. Jeszcze przed dziesięciu laty pudrem, różem, sznurówką, narkotykiem radził sobie z niewidocznymi w swoim pojęciu brakami – aż tu nagle i te zwykłe sposoby zaczęły nie wystarczać. Wówczas oddał się w ręce Baptysty, znakomitości

* Brühl – hrabia Henryk von Brühl (ur. 1700, zm. 1763), Sas, pierwszy minister króla Augusta III. Wywierał wszechwładny wpływ na rządy Saksonii i Polski w latach 1733–1763.

zwabionej datkami od księcia de Ligne. Francuz robił, co mógł. Właściwie bardzo łatwo potrafiłby nadać panu szambelanowi wyraz miłego a leciwego męża, lecz pan Anastazy chciał się dostroić do wdzięków dwudziestoletniej żony.

Bywały dnie, że szambelan tracił wiarę w Baptystę i nie pozwalał się ubierać, lecz bywało to tylko wówczas, gdy równocześnie mógł w Walewicach wrota wjazdowe zawrzeć i nikogo nie przyjmować. Wtedy szambelan nie pokazywał się nawet żonie własnej, zmuszając ją do takiego samego odosobnienia.

Zamknięty w swoich pokojach, czytał romanse, kurował się, wysłuchiwał długich raportów o tym, co robi „jaśnie oświecona”, drzemał i z rozkoszą poddawał się wszystkim starym nawykom.

Dopiero kiedy ze świata doszedł go głos obowiązku towarzyskiego, gdy musiał pokazać się ludziom, zrywał się ze swoich poduszek, zdierał z siebie pokłady waty, odrzucał bańki z gorącą wodą i oddawał się w ramiona Baptysty.

Tego wieczora Francuz miał większą pracę niż zwykle. Pan Anastazy był zmordowany forsowną podróżą, wzburzony rozmową z Boleszą i silniej niż zwykle cierpiący. Baptysta zaczął od rzeźwiących soli i rozcierania zdrętwiałych nóg, bo mu szambelan na samym wstępie zapowiedział, że na bal do księżnej stanowczo laski wziąć nie może.

Upływały godziny, szambelan usiedzieć nie mógł. Po dwukroć przerywał toaletę i groził, że nie pojedzie na bal – raz posłał pokojowca do żony z oświadczeniem, żeby zaniechała stroju, bo zostaną oboje w domu. Lecz w starym dworaku poszanowanie dla salonu przemogło. Księżna na niego liczyła. Ksawery prosił, ktoś ze strony Radziwiłłów mógłby zwrócić uwagę na złe stosunki ojca z synem i wynikłyby plotki.

I tak już mówiono. Jeszcze Bolesza gotów coś wspomnieć o dzisiejszym spotkaniu, wówczas ośmieszyłby go niewątpliwie.

Szambelan ze strachem obliczał, ile go na przyjęciu u księżnej Jabłonowskiej czeka ukłonów, ile godzin nużącej rozmowy, ile wysiłku dla dotrzymania placu czekającym go uprzejmościom, a wszystko to dla pana Ksawerego, a raczej dla koligacji z Radziwiłłami. Szambelan bowiem od dłuższego czasu był źle z synem.

Póki pan Ksawery był pełnym nadziei młodzieńcem, póty szambelan lubił nim się chlubić i szczerze myślał o promocjach dla niego, a ponieważ o te bywało coraz ciężej, więc ożenił go z Wodzińską, a w rok pierwszego wnuka powitał z odcieniem ukontentowania. Powtórne śluby pana Anastazego oziębily nieco stosunki, zwłaszcza gdy zapalny pan Ksawery jął mieszać się do spraw i partii, które z natury swej niemiłe były ojcu.

Rozdział atoli ostateczny nastąpił w chwili, kiedy szambelan stanął u ołtarza z Łączyńską. Pan Anastazy niemal za obrazę sobie poczytał, że syn nie tylko wyprowadził mu na tę uroczystość wszystkich dorosłych wnuków, lecz sam poważyl się stanąć w pełni swej szronem, a nie pudrem okrytej czupryny, która dziwnie odbijała od peruki szambelana i jego zręcznie wygładzonych zmarszczek. A nadto pan Ksawery miał zwyczaj gawędziarski wspomniania dawnych czasów i cytowania przy lada okazji dokładnych dat, co już szczególnie na ostatnim weselu o febrę przyprawiło pana młodego i ostatecznie obudziło ku synowi niechęć.

W ten sposób, bez burzliwych rozpraw, bez podniecających przymówek, stosunki między ojcem a synem zostały zerwane. Dopiero księżna Jabłonowska, rodzona siostra pana Anastazego, podjęła się złe naprawić, a raczej nie dozwolić, aby brat jej, szambelan, dał się opanować takiej płotce, jaką była jego ostatnia żona, i nie skrzywdził tak pięknie awansujących się synów pana Ksawerego.

Księżna wiedziała, gdzie należało uderzyć, aby polectać ambicję brata i pierwsze lody przełamać.

Trzy tygodnie trwała korespondencja, aż nareszcie szambelan dał się namówić na przyjazd do Warszawy. Urok Radziwiłłów zrobił swoje.

Wprawdzie pan Anastazy swój herb, „Kolumnę”, wywodził od rzymskich patrycjuszów, a chętnie lubił powtarzać, że nie zna rodu, który by mu starożytnością indygenatu wyrównał, jednak Radziwiłłówna wyprowadziła go z obojętności dla syna i wnuków; w szambelanie odżyły starszylacheckie urojenia, obudziły się dworackie narowy.

Kamerdyner pracował bez wytchnienia, nie zwracając uwagi na sapanie szambelana ani na jego błagalne westchnienia.

Dobre dwie godziny upłynęły, zanim Walewski, spryskany obficie wódką pachnącą, napojony rzeźwiącym a podobno odmładzającym płynem, stanął przed lustrem.

Szambelan, zobaczywszy się w zwierciadle, musiał przyznać samemu sobie, że nadspodziewanie... wyglądał. Figura mocnymi sznurkami podparta wyprostowała się, wyprężyła, frak perłowy leżał jak ulany, niebieska wstęga orderowa pięknie odbijała od złotej kamizelki, żabot we wdzięczne układał się fałdy, dyskretnie odsłaniając brylantowe zapinki – tylko twarz wydała się panu Anastazemu za wyrazista, silnie podcieniowana. Szambelan odważył się nawet zwrócić z tym do Baptysty, lecz ten uśmiechnął się pogardliwie i zawyrokował bez apelacji:

– Inaczej nie może być.

Pan Anastazy znów westchnął, wziął do ręki tabakierkę kunsztownie cyzelowaną, widoczny dowód dawnej łaskawości królewskiej, i tłumiąc poczynający się kaszel batystową chusteczką, powlókł się do pokojów żony.

Pani Walewska czekała od dawna na męża. Na widok wchodzącego szambelana podniosła się z krzesła i rzekła machinalnie:

– Więc jedziemy.

Pan Anastazy chciał odpowiedzieć opryskliwą uwagą, lecz porwany niespodziewanym widokiem zatrzymał się, przyłożył szkła do oczu i z miną znawcy jął przyglądać się własnej żonie. Jeszcze mu się nigdy tak piękna nie wydała.

Szambelanowa, uczuwszy na sobie przenikliwy, cyniczny wzrok męża, oblała się rumieńcem, jej delikatna twarzyczka zadrgała życiem, wielkie, łzawe, ciemnoszafirowe, spłoszone oczy skryły się pod firankami długich, jedwabistych rzęs. Pan Anastazy roześmiał się z zadowoleniem.

– *Charmante!** *Charmante!* – wyszeptał, krztusząc się, cicho, a przysunąwszy się do żony, ujął ją za podbródek i wyciągnął szyję, składając swe drżące, bezzębne usta do pocałunku.

Szambelanowa pod dotknięciem ręki męża otrząsnęła się z odrazą i w bok wygięła; pan Anastazy zachwiał się i ledwie równowagę utrzymał.

* *Charmante* (fr.) – urocza.

– Uciekasz – mruknął, śmiejąc się cicho – znajdę cię, znajdę. Ale! Znów biała suknia! Cierpisz coś do tej białości. Dlaczego nie włożyłaś kolii?

– Wiesz, już tyle razy ci mówiłam, że nie lubię.

– Nie lubisz! Proszę! Nieboszczka Żaneta na każdym balu ją miała! Rodzinne klejnoty! Pamiątka po babce, pani wojewodzinie łęczyckiej!

– Już dziś pozwól...

– Zawsze mówisz „dziś”. Owszem, idzie ci ta skromność do twarzy, można cię admirować, tylko za sentymentalnie. Imaginuj sobie, że u księżnej cała socjeta dziś będzie!

– Cóż mnie do niej?

– Bardzo dobrze. Nie mówię, abyś tam miała dbać o komplementy, jeno należy pamiętać o godności. Walewską jesteś. Łada jako występować ci się nie godzi, zwłaszcza... kiedy idzie o swatanie wnuka z Radziwiłłówną!

Na wyraz „wnuk” pani szambelanowa podniosła z oznakami zdziwienia łuki ciemnych brwi i chciała odpowiedzieć pytaniem, lecz powstrzymała się w porę. Pan Anastazy kończył przemowę i trząskał tabakierką.

– Niech tam sobie dzisiaj. Wybaczam ci, ile że mi przypadłaś... jesteś wcale dobrze. Nie imaginujesz nawet sobie! Brak ci jeszcze życia, tego, co ma Anetka Tyszkiewiczówna. No, no! Jedziemy! Podaj mi ramię, nie drepcz tak prędko!

Szambelan wprowadzony nagle w wyśmienity humor dosyć żwawo wdział szubę i dał się ulokować w kolebce obok żony.

Sprawiło panu Anastazemu niewypowiedzianą satysfakcję, że właśnie tak piękną posiadał żonę, że on jeden jest panem tego uroczego zjawiska, że wszyscy będą mu zazdrościli i już bez wątpienia zazdroszczą, że ona skuta jest z nim nierozzerwalnym węzłem.

Szambelan pod wpływem tych wywodów odmłodził nagle, ku żonie się skłonił, pięściowych wyrazów dobierał, a w końcu łagodnie wspomniął dane już w Walewicach nauki.

– Z księżną trzeba, abyś była uważająca. Pisała do mnie wcale życzliwie, dopytywała się i o ciebie. Najbliższa to rodzina.

– Ja nie dałam nigdy powodu do nieukontentowania.

– Nie dałaś. A zawsze tam coś było. Księżna jest wszędzie w manierach bez zarzutu. Tyś... młodsza... weszłaś w rodzinę skoligaconą, musisz ustępować, zjednywać sobie ludzi. Lada słowa do serca nie brać.

– Czasem trudno zawładnąć – odrzekła cicho szambelanova. – Księżna od pierwszego poznania okazywała mi niechęć.

– Przywidziało ci się; jeżeli coś tam było, to jedynie ze szczerego przywiązania ku mnie. Żeby ona za mąż wychodziła, to ja bym może też miał niejake wątpliwości...

Tu szambelan urwał nagle, przypomniawszy sobie owe długie perswazje, którymi dręczyła go siostra przed ślubem z Łączyńską. Wszystkie obawy księżnej, będące w istocie odbiciem jego własnych myśli, stanęły mu przed oczyma.

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl



Niezwykłe piękna
Maria Walewska wyrusza
pod Warszawę, by powitać Napoleona,
wielkiego cesarza Francuzów,
obiecującego wolność jej ojczyźnie.
Zafascynowana Bonapartem młoda kobieta
wikła się w płomienny romans, rozgrywający
się na tle europejskich ambicji, marzeń
o niepodległości i wielkich decyzji.
Środowisko patriotyczne wierzy,
że Walewska zdoła oczarować cesarza.
Czy zakochany Napoleon spojrzy
na Polskę inaczej pod wpływem
swej urodziwej kochanki?



bukowylas.pl

Cena: 79,90 zł